Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 19. Czerwca 1881 r. Tom XII.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 25.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

OPERACJA FINANSOWA NA ŻYDACH.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ PRZESZŁOŚCI

skreślił

M. STARCZAK.

(Ciąg dalszy.)

Przy obiedzie — a jadaliśmy razem — sprawnik był wesół, rozmowny, Saszka jednak i teraz jeszcze wciąż chmurna, wzdychająca i na przymilanie się jego, jak przy herbacie, grymasi i uchyla się, gdy chce ją pocałować.

— I czego jeszcze? — zapytał Pietio. Powiedziałem... pieniądze będą.

— Da, *budut*... ale kiedy? Wy pojedziecie zresztą, a ja tu sama zostanę... na nudy. Skaranie Boże ta Dzisna!... jakieś zakazane, obrzydliwe miasteczko!

— Ty jej już nie odmienisz.

— Ale kiedy tu i spaceru żadnego nie ma — wyrzekała wciąż grymaśnica.

— Brzydota... brrr!

Trzymała widelec w ręku, wstrzęsła się spazmatycznie i w gniewie rzuciła go na środek stołu.

— Żeby spacer przynajmniej... chociażby to jedno!... nie!

Za widelcem poleciała pod stół serweta.

Spojrzeliśmy na nią obadwa — była zarumieniona, to znowu blada, a ciągle zła. Brańców ścisnął ramionami, zapatrzony na nią i do mnie szepnął: »Zobaczysz, to pierwszy znak spazmów... a to licho nadało!» — odwracając się zaś do Saszki, powiedział:

— Da ty, miłaja moja, patrzysz tylko na ulicę przez okno... i nic nie widzisz. Brzeg Dźwiny koło kościoła wysoki i od kilku dni suchy... całe miasto wczoraj jeszcze tam na spacerze widziałem... ludzi jak mrowia. Co za prześliczny widok! a jeszcze teraz. Wody rozlane jak morze... okiem nie dosięgniesz drugiego brzegu.

Podniosła oczy... uśmiechnęła się.

— Choć to jedno! I wody — mówisz — szeroko rozlane... drugiego brzegu nie dojrzeć?

— A nie — gdzieś ginie... daleko! I Doroszkowicze (wieś Kostrowickich) wyglądają jak wyspa... w tamtą stronę teraz, to tylko woda i wyspy. A wały Batorego na Dźwinie, miejsce wyniosłe... ztamtąd widok być musi jeszcze piękniejszy.

— Pierwszy raz słyszę. Cóż to są te Batorego wały?

— Ano, okopy na wyspie. Ztamtąd on sypał kulami z armat na naszych... a nasz Iwan Groźny zajmował w stronę Kamionki płaszczyznę. Tak być musiało, bo kule Iwana w kościele po-frańciszkańskim tkwią dotąd.

— No... i co?... Czy Batory, czy Groźny ustąpił?

— Naturalnie — ustąpił Iwan... przewaga! Batory wziął Dzisnę, Połock i Wielkie-Łuki... het dalej i dalej. Zaszedłby nie wiedzieć gdzie... może do Moskwy, tylko *papa* rymskij (papież) zatrzymał go przez swego posła, bo Iwan spokorniał przed *papą* i udawał, że z całym krajem wiarę katolicką przyjmie.

Saszka ścisnęła ramionami, słysząc o przewadze Batorego nad Groźnym.

— Groźny... durak! Mówisz, że ta wyspa wyniosła, a polski król tam się okopał. Czemuż Groźny tej wyspy nie zajął pierwszy, a Batoremu nie zostawił płaszczyzny?... Byłby on zwyciężył, nie jakiś tam królik polski.

— To nie jakiś, moja miłaja... wódz całą gębą, robił swoje i na zimno brał rzeczy — nie to, co Iwan. Ten się tylko pienił ze złości i zgrzytał zębami. Gdyby przyszło na zęby... tak... możeby Batoremu dał radę, ale w takich razach głowy potrzeba i coś tam jeszcze w niej... a tego nie miał nasz Groźny.

Lokaj wszedł z drugim półmiskiem i obnosząc powiedział, że w kancelarji jakiś pan czeka.

— Jaki pan? — zapytał sprawnik.

— Nie wiem... gruby, wysoki, brunet.

— Z miasta czy ze wsi?

— Nie widziałem go jeszcze u nas... zapewne ze wsi.

— Pilno, kiedy się odważył teraz jechać do Dzisny. Cóż to za pan!

Wstaliśmy obadwa od stołu.

W kancelarji, przy mojem biórku siedział p. Kamiński, obywatel znacznego majątku, ale zadłużony nie lada — poważny człowiek zresztą i poważany. Odgadłem zaraz, jaki ma do sprawnika interes.

Jeszcze za Sprawnikowstwa Subbotkina był do Dzisny przysłany urzędnik rządu gubernialnego, w charakterze egzekutora podatków. Nazywał się Szczygielski, a był dymisjonowanym kapitanem dragonów. Na dobrach Kamińskiego ciążyła spora suma zaległości skarbowej. Gdyby Szczygielski był obrał sobie miejsce pobytu w mieście, pociągnęłoby to koszta, on zaś tego unikał i pragnął urządzić się jak najtaniej. Przeglądając listę zalegających w opłatach i wypytując się o każdego faktora, obrał sobie za punkt oparcia majątek Kamińskiego, tu się sprowadził z żoną i dziećmi, ztąd robił wycieczki, a raczej najazdy na innych zalegających.

P. Szczygielski, Polak z rodu, ale do gruntu był przesiąknięty skłonnościami urzędnika rosyjskiego najczystszej wody. Figura to ważna na swój czas w dziejach powiatu, więc w paru słowach rzeczy o nim zamknąć nie można. Oddzielne opo-

wiadanie pamięci najazdu jego poświęcę, tu zaś co do wizyty Kamińskiego dam wyjaśnienie.

P. Kamiński na zapłacenie od razu paru tysięcy zaległości nie miał gotowych pieniędzy, pożyczki były trudne, propozycję więc zamieszkania p. Szczygielskiego u siebie przyjął jako zbawienie, bo w każdym innym razie majątek mógł być wystawiony na sprzedaż publiczną, albo, co najmniej, w administrację jakiemu urzędnikowi oddany, to zaś wskutkach wypadłoby jeszcze gorzej, niż sprzedaż. Za otwarcie sobie gościnności w tym domu, poprzestał p. Szczygielski na częściowem wnoszeniu długu do kasy, a p. Kamiński poczytał to za dobrodziejstwo dla siebie... Sześć już miesięcy egzekutor gościł u niego z żoną, dziećmi, piastunką. Był on na oko gładki, przyzwoity i ugrzeczniony, lecz sześć miesięcy zamieszkiwania pod jednym dachem, wykryło takie w p. Szczygielskim i jego małżonce przymioty, że trzymać ich dalej było niepodobieństwem... a tymczasem gości pozbyć się było trudno.

Wiedziałem już od p. Kamińskiego o jego pomniejszych sprawkach, lecz zmiana sprawnika przeszkodziła wyforować egzekutora. Musiało coś zajść nowego i większej wagi, kiedy p. Kamiński na roztopach i o mil ośm zdecydował się jechać do Dzisny.

Zarekomendowałem go sprawnikowi.

— Ależ pan będzie łaskaw do mnie — mówił sprawnik, szastając nogami — do mego mieszkania. Droga musiała utrudzić, szkaradna teraz... co? Obiadkiem pan nie pogardzi... ubogi, sprawnikowski... co robić! Czem chata bogata...

Sprawnikowski obiadek owego czasu — jak do sprawnika zresztą i zależało to od obrotności tego personata w powiecie — jego obiadek nie był do pogardzenia. Składali się na to szlachta, żydzi, ten i ów — zatem na koszt składkowy można było sobie pozwolić. Dań najmniej cztery, a jak gości zaprosił, to już cała wystawa. Żarcik co do *ubogiego* obiadku rzucił sprawnik widocznie z zakrojem tym, żeby Kamiński za grzeczność, swoją drogą, a za interes swoją, domyślił się i przysłał coś na sprawnikowski stół. Brańców ledwie kilka tygodni był w Dziśnie, a już do spiżarni i do kieszeni wpłynęło sporo.

Saszeczka słodziuchna jak cukierek przyjęła gościa i sama do kuchni wybiegła, żeby coś podać na zupę. Grymasy ustały, że zaś p. Kamiński do rozmowniejszych ludzi należał, był gładki i światowy, zapomniała przeto o wszystkich swoich strapieniach co do zamierzonej do Połocka wycieczki.

Skończył się »obiadek ubogi«, wychylono i buteleczkę Chateau-Yquem, którego Saszka była amatorką, gawęda przeciągnęła się do czwartej... czas było przystąpić do interesu. Wyszliśmy do kancelarji, że zaś sprawnik zapomniał o cygarach, wybiegł więc po nie. Korzystając z tego p. Kamiński krótko mi opowiedział powód swojej wizyty.

— Zmiłujcie się, wybawcie mię od tego egzekutora! Wymagający, oboje nieznośni, dzieci szkaradne, a w dodatku... mamże ci prawdę powiedzieć?... No, kradną, oboje kradną... z pod klucza.

Osłupiałem.

— Jakto być może?

— Tak! tak!... Mają całe wiązki kluczy, kluczyków, dłuta, haczyki... i otwierają. Wyprawne srebra żony mojej już w ich kuferku... bižuterje to samo. Dam sprawnikowi co chce... i zaraz... a tylko niech ich odemnie zabierze. O jedno proszę... róbcie ostrożnie, żeby mnie nie narazić, bo... no, majątek sprzedadzą, albo w administrację wezmą.

Wszedł z cygarami p. Brańcow, uprzejmy jak zwykle i grzeczny.

— Ja, proszę pana naczelnika — mówił pan Kamiński, biorąc z pudełka cygaro, przybyłem tu w sprawie drażliwej dla mnie. Mam u siebie postój w osobie p. Szczygielskiego, jego szanownej małżonki, dwojga dzieci i niańki. Mam już pół roku, a moja familja spora i dwór, chociaż na oko duży, ale rozkład niewygodny... dla dwóch familij za ciasno. Czy p. naczelnik nie może mnie zwolnić od tego kwaterunku i gdzieindziej państwa Szczygielskich pomieścić... proszę uprzejmie o to.

Sprawnik stał uśmiechnięty.

— Przyznaj się pan... *postojalec* nabroił — co? Tak to jest z naszym bratem... wojenny, hajdamaka — a o Szczygielskim ja wiem.

— Nie, p. naczelniku, nie o nabrojenie tu idzie, ale... niewygoda... za ciasno.

— A podateczki zaległe... jakże z tem pan stoisz?... bo od tego wszystko zależy, żeby czasami nie pogniewać Szczygielskiego. Ja to rozumiem... ciężko — racja! ale on mało odemnie zależy — delegat rządu gubernialnego... mógłby panu figla wypłatać.

— Tak, mógłby... lecz szanowny pan dasz nam także opiekę. Za takiemi plecami...

— Chciałbym! chciałbym!... ale nie wiele tu mogę. Jakże z podateczkami?

— Bieżące zapłaciłem dziś w kasie, a zaległość... także w połowie wniesiona.

— Tak?... to chwała Bogu!... Ja za chwileczkę wrócę... przepraszam — i z kancelarji wyszedł.

Wyszedł, zamykał drzwi... ale nie zamknął i zaglądając w otwór, palcem kiwał na mnie, wywołując za sobą. Wyraźnie sekret... i niezawodnie chce z kłopotów p. Kamińskiego korzystać.

Znaleźliśmy się oko w oko ze sprawnikiem w przyległym do kancelarji pokoju.

— Czy prawda, że połowa zaległości wniesiona?

— Tego dobrze nie wiem. Przed dwoma miesiącami upłacił coś, teraz także cząstkę mógł wnieść.

— Przejrzyj pan kwity kasowe... i powiesz mi. Jeżeli mniej o połowę tej zaległości, to rzecz skończona — Szczygielskiego wyprawim, a byłby czas pozbyć się go nawet zupełnie z powiatu, bo... krzyczą podobno — wczoraj mówił mi Obrąpalski (marszałek).

Namyślał się i kręcił wąsa.

— Tak... dokończył — wyprawię tego drapichrusta, gdzieindziej osadzę... już ja mam na myśli kwaterę dla niego, a tylko... ręka rękę myje... niech się p. Kamiński namyśli. Za tę sztukę mnie... sto, a panu niech da piędziesiąt. Sam skończ z nim i weź... ja powiem tylko, że Szczygielskiego wyprawię, ale jak da... chcę pierwej wiedzieć. Słowu memu zaufać może — zrobię to najdalej w ciągu tygodnia.

Poszedł do dalszych pokoi — ja do kancelarji wróciłem i powtórzyłem p. Kamińskiemu naszą za drzwiami rozmowę.

— A niech go djabli — odpowiedział mi na to. — Sto rubli — za słono, wielkie od zaległości tej płacę procenta. Ale... co robić! — Niech wyprowadzi tylko tego złodzieja... dam. Wiesz?... on w tych dniach u Podbipięty w Sielcach zrobił znów awanturę. Po powrocie ztamtąd krzyczał, wygrażał... mówi, że pośle do gubernatora raport... że całemu powiatowi piwa nawarzy.

— U Podbipięty?... to źle! Tam wiecznie polityka w modzie... i nie są ostrożni.

Ukłuła mnie ta niespodziana wiadomość, bo z domem tym wiązały mnie pewne stosunki.

— A kwity z opłaty zaległości — dodałem — masz pan?

— Mam tylko dzisiejszy. W styczniu zapłaciłem 750 rubli — wiesz, dziś drugie tyle... więc prawie połowa.

Obejrzałem kwit... rzecz więc skończona. Wziąłem od p. Kamińskiego sto rubli i do sprawnika z niemi poszedłem.

Czekał na to i gdy spostrzegł mię wchodzącego, zerwał się z krzesła i stanął we drzwiach, oglądając się, czy Saszka nie widzi. Ona była w drugim pokoju, stała u okna i wyciągała jakieś trele swoim piskliwym głosem.

— Nu, kak?

Oddałem sto rubli. Schował je prędko do kieszeni, raz jeszcze oglądając się na drzwi do drugiego pokoju.

— Da, lublu takiego pana... wot polskij pan!

Wróciliśmy do kancelarji obadwa.

— Sekretarz mówi — ozwał się zaraz od progu — mówi, że połowa zaległości już zapłacona. Bardzo pięknie... za tydzień Szczygielskiego u pana nie będzie — może prędzej nawet. Ja nie znoszę ludzi niespokojnych, ani żadnych nadużyć w powiecie. I co on za egzekutor!... bierze tylko łapowe, a do kasy nie wnosi nic. Zrobię panu... wot moje słowo i podał rękę.

Pożegnali się... ale p. Kamiński pragnął także pożegnać i »małżonkę« p. naczelnika. To ujęło jeszcze bardziej sprawnika, a Saszka odprowadziła go do przedpokoju.

— Z takim panem — mówiła po wyjściu jego — z takim... miło zabrać znajomość. Grzeczny, układny... czy takich wielu w powiecie?

— Prawie wszyscy — odpowiedziałem.

— Da! — dorzucił sprawnik — ja takich ludzi szanuję. Będziemy żyć — a obracając się do Saszki, dodał:

— No, masz u mnie 50 rubli... czy

dosyć? Jutro jedziemy, a jak powrócim, dodam ci jeszcze 100... pieniądze będą.

— Schwatił (złapałeś)?... przyznaj się. Maładiec (zuch)!... a tylko 50 jutro, to mało. Dorzuć jeszcze 25.

Rzuciła mu się na szyję i całować poczęła, wołając »daj! daj!«

— Dobrze już, dobrze!... dodam... a tylko jutro.

Nie chciał dwóch razem papierków pokazać, boby Saszka skonfiskowała, bez zdania reszty.

Uszczęśliwiona, że będzie miała pieniądze na swą do Połocka przejażdżkę, poczęła namawiać nas do wycieczki na wyspę, dla obejrzenia okopów Batorego, wołała o futro i głowę w szal okręcała. Nie było z nią rady. Śpiewająca, wesoła, skoczna, pochwyciła czapkę z czerwoną obwódką i Pietiowi swemu wcisnęła na głowę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

II.

Powiedziałem, że plan Austrji i Bismarka, co do „austrjackiego panslawizmu", daleko jest szerszy i liberalniejszy aniżeli proste skatoliczenie wszystkich południowo-zachodnich Słowian, lub rozprzestrzenienie wśród nich Unji. Gdyby tylko na tem polegał plan cały, nie byłby on niebezpieczny ani dla Słowian ani dla nas, nie wartoby było nawet o nim mówić — tak widoczną na pierwszy rzut oka jest jego niemoc. Dla każdego trzeźwo na rzeczy patrzącego człowieka – a Niemcom, nawet największy wróg ich, trzeźwości poglądu nie odmówi — jasnem jest, że jeśli religja stanowi przewyborną ochronę, silne przedmurze narodowości i potężny oręż do walki z wrogiem, podczas ciężkiej politycznej zależności i ucisku, to jednak organicznej całości z narodowością nie stanowi i stanowić nie może i dla tego traci swe przodujące znaczenie z chwilą, gdy naród otrzymuje swą niezależność lub choć przestaje być uciskanym. Gdyby ta lub inna religja warunkowała sobą tę lub ową narodowość, jak, według mniemania pewnego u nas stronnictwa, słowiańskość warunkuje się prawosławiem, to Grecy i Rumuni dawno już powinni byli przemienić się na Słowian, albo przynajmniej zasymilować się i utworzyć coś pośredniego. Tymczasem nic podobnego nie zdarzyło się. Trzy te narodowości wiele wieków żyją razem, a miejscami, jak naprzykład w Macedonji, razem i do tego w pomieszaniu, niemniej jednak każda narodowość i każda oddzielna osobistość zachowały w zupełności wszystkie swe narodowe cechy. Wspólność religji nie tylko ich nie zasymilowała, ale nawet nie pogodziła z sobą. Są oni takimi samymi zapamiętałymi sobie wrogami dziś, jakimi byli dziesięć wieków temu. Już z tego jednego przykładu widocznem jest, że taki bezsprzecznie genjalny polityk jak Bismark, nie mógł budować tak daleko sięgającego politycznego planu, na tak kruchym fundamencie, jak kwestja religijna. Dla tego też byłby go nie budował, gdyby plan ten nie miał innej, bardziej mocnej i trwałej podstawy — narodowości. „Austrja powinna stać się przytułkiem i przedmurzem narodowości, pod którego potężną ochroną, każda narodowość mogłaby rozwijać się spokojnie i swobodnie." W tych, lub w prawie tych samych słowach wyraził się cesarz Franciszek Józef w mowie tronowej przy otwarciu parlamentu przed półtora rokiem; myśl ta, stanowi osnowę wszystkiego co się od tej chwili robi w Austrji i co polityczny kronikarz „Rusi" nazwał: „wspaniałym systematem kokietowania z Czechami, Polakami, Chorwatami i inn.; jest ona również osnową „austrjackiego panslawizmu". Austrja, obiecuje, do czasu tylko swoim Słowianom (choć zamierza zaproponować i z pewnością zaproponuje w stosowną chwilę i innym) zabezpieczyć pełną swobodę narodowości i narodowy samorząd, w granicach (a innym plemionom słowiańskim pod ochroną) państwa austrjackiego. I napróżno moskiewska gazeta myśli, że to tylko „wspaniały system kokietowania" i że „słowiańska dobroduszność kokietowania tego nie widzi". Po pierwsze, Słowianie austrjaccy wcale nie odznaczają się tak już nadzwyczajną dobrodusznością, którą, zresztą w danym razie słuszniej by było nazwać głupotą, gdyby to wszystko miało miejsce. Powtóre, polityka hr. Taaffe nie jest wcale kokietowaniem; jest to — dojrzale i ściśle obmyślany systemat, dążący do oznaczonego celu — „austrjackiego panslawizmu", i umiejący dobierać środki. Ona również nie wymyślona przez niego, polityka ta zaleconą mu jest przez koronę, a korona, w tym razie działa w pełnem porozumieniu z przyjacielem swoim i sojusznikiem, z Niemcami. Schmerlingi, Herbsty i inni koryfeusze niemieckiego, jakoby liberalnego, stronnictwa, którzy wciągnęli w grę nawet włościan niemieckich, ażeby zatrzymać Rząd na drodze sprawiedliwego postępowania względem Słowian, dawnoby zatryumfowali, jak to predtem zawsze bywało, gdyby obecne dążenia Habsburgów nie miały silnego oparcia w Niemczech. Należy zwrócić uwagę na to, w jak ścisłym związku znajdują się, jak zgodną jest wewnętrzna polityka Austrji, z jej polityką zewnętrzną, ażeby od razu się przekonać, że tu nie idzie o kokietowanie. A jeżeli przytem weźmie się na uwagę, że taka harmonja jednej i drugiej polityki praktykuje się wyłącznie w jednej tylko Austrji, że jedno tylko to państwo, i to do tego stopnia pstre, że go z powodu tej pstrocizny wielu na śmierć skazało, i przed dwudziestu jeszcze laty aż do barbarzyństwa absolutne, wprowadza w czyn u siebie w domu to, co głosi u sąsiadów, gdy tymczasem wszystkie inne mocarstwa europejskie bardzo pięknie mówią o narodowej wolności, gdy rzecz dotyczy sąsiadów, a u siebie wszelki objaw takiej wolności jak najsurowiej tłumią; jeżeli zwróci się uwagę na tę w wysokim stopniu ważną okoliczność, to ostatecznie stanie się widocznem, że kierujący politycy Austrji działają ze świadomością i ze swej drogi nie zejdą. A że Austrja rzeczywiście robi tak jak ja mówię i robi wiele i systematycznie, tego dowodzi wszystko spełniające się w różnych jej prowincjach. Nie będziemy brać Galicji ani Czech, mających mnóstwo przedstawicieli w Rajchsracie i mogących dla tego, na zewnątrz wszelkich politycznych planów korony, zwykłą konstytucyjną drogą dobijać się swych historycznych i plemiennych i wszelkich innych praw. Weźmiemy małą, biedną, prawie zapomnianą przez Boga i ludzi, słowiańską prowincję, gdzie plemię słowiańskie było do tego stopnia zapomniane, że przed dwoma lata i pisnąć głośniej nie śmiało — weźmiemy Krainę. Tam gubernatoruje obecnie mianowany przez hr. Taaffe Niemiec Winkler. Owóż ten Niemiec — czystej krwi Niemiec — działa z takiem powodzeniem, że w dwa lata, cały kraj przemówił po słoweńsku, otwarto kilka słowiańskich średnich zakładów naukowych, i duch poniżonego dotąd słowiańskiego chłopstwa, tak się podniósł, że Niemcy, nie masami jeszcze, ale już pojedyńczo zaczynają powoli przemykać się do innych prowincyj. Urzędnicy, zakamieniali Niemcy, — centraliści, po cichutku, jeden za drugim przenoszą się na inne posady, a zastępują ich Niemcami jeszcze, ale już federalistami, od których przytem wymaganą jest znajomość języka słoweńskiego. Sam gubernator u siebie w domu i na urzędowych przyjęciach mówi nie inaczej jak po słoweńsku i często, w braku urzędników posiadających ten język, sam osobiście tłomaczy i przepisuje mało ważne nawet papiery, byle tylko utrwalić i uprawnić zaprowadzenie słoweńskiego języka do miejscowej, urzędowej korespondencji. Urzędowe rozporządzenia drukują się jednocześnie w miejscowym organie rządowym i w słoweńskiej gazecie doktora Bośniaka, słoweńskiego deputowanego i gorącego patrjoty, agitatora, z którym Winkler żyje w najściślejszych przyjacielskich stosunkach. Nie dość tego, gubernator, mówią, schodzi do polemiki dziennikarskiej — ma się rozumieć bez podpisu — w razach, gdy wypada bronić swych czynności na korzyść słoweńskiego narodu, w obec zażartych napaści dziennikarstwa niemieckiego. Czyż można choćby na chwilę przypuścić, że takie postępowanie gubernatora nieznanem jest w Wiedniu, w odnośnem ministerstwie i w starym Burgu? Ma się rozumieć, że nie, ma się rozumieć, że tam wiedzą o wszystkiem jak najlepiej i że wszystko to pochwalają.

Przejdźmy teraz do drugiej części Monarchji i patrzmy, co się robiło i co się robi u Chorwatów. Wiadomo, jak śmiałym a nawet ostrym adresem odpowiedzieli oni na mowę tronową w r. 1878. Wyrażali oni tam wyraźnie życzenie, ażeby przywróconem zostało Trójjedyne królestwo. Lecz co jest mało komu znanem, — albowiem z przyczyn łatwych do zrozumienia, nie wspominała o tem żadna nawet węgierska gazeta — to, że adres chorwacki był przejrzany i zaakceptowany osobiście przez cesarza wprzód aniżeli był podany, i nawet wprzód nim był zatwierdzony przez sejm chorwacki. W sejmie była różnica zdań. Nie liczna grupa najbardziej ostrożnych posłów, niechcąc bez szczególnej potrzeby drażnić Madjarów, protestowała przeciw niektórym, według nich, zbyt ostrym wyrażeniom adresu i Mazuranicz, ban jeszcze podówczas, również doradzał złagodzenie. Większość nie zgadzała się na to i Mazuranicz, przyczepiwszy się, nie pamiętam już do jakiej okoliczności, pojechał z adresem do Wiednia. Tam, przyjął go przyjaciel i protektor Chorwatów arcyksiążę Albrecht, a następnie prywatnie sam cesarz, który przeczytał adres i rzekł do Mazuranicza: „Nic nie szkodzi, wybornie, podajcie tak jak jest, nic nie zmieniajcie". Następnie, warunki polityczne, konieczność oszczędzania gorącej drażliwości Madjarów, zniewoliły

*

cesarza, że urzędownie dość chłodno odpowiedział Chorwatom, Chorwaci jednak wcale się tem nie zaniepokoili. Mieli oni słowo cesarza Franciszka Józefa, który niemniej od nieboszczyka Wiktora Emanuela zasługuje na nazwę „Uczciwego człowieka,“ i wiedzieli, że przyłączenie Dalmacji do Chorwacji jest tylko kwestją czasu. Obecnie, jak wiadomo, można je uważać jako zadecydowane, a przyłączenie Pogranicza Wojskowego — fakt prawie spełniony.

Prawda, że równocześnie, Czesi nie otrzymali jeszcze swojego uniwersytetu.*) Lecz wina to już nie korony ani ministerstwa, a wyłącznie samych Czechów, którzy uporczywie odmawiają utworzenia nowego, specjalnie czeskiego uniwersytetu, a żądają koniecznie mieć dla siebie istniejący obecnie uniwersytet pragski, chociaż ten, jak wiadomo nigdy czeskim nie był i Niemcy, których liczba u Czechach mało co ustępuje liczbie Czechów, mają zupełne prawo zachować dla siebie czysto niemiecki uniwersytet w Pradze. Oprócz tej nieszczęśliwej kwestji Uniwersytetu, prawa języka czeskiego zrównane są zupełnie z prawami języka niemieckiego. Nawet zupełnie w gruncie rzeczy niepotrzebne dla pomyślnego rozwoju narodowości, historyczne prawa „korony Św. Wacława“, i te mają obecnie szanse odrodzenia. Już była mowa o koronacji cesarza na króla czeskiego, i cesarz osobiście nie jest temu przeciwny, tylko że będąc przedewszystkiem uczciwym konstytucyjnym monarchą i człowiekiem rozumnym, nie chce nagle przewracać wszystkiego do góry nogami a idzie sam i prowadzi swe państwo do celu rozważnie i stopniowo.

Celem tym — jasno, jak sądzę, wypływającym z tego co powiedziałem powyżej — celem tym jest radykalne przeobrażenie całego ustroja państwowego, stworzenie nowej Austrji, zbudowanej na zupełnie nowych podstawach. Sama myśl nowej Austrji nie jest zupełnie nową. Oddawna już noszą się z nią wiedeńscy mężowie stanu i cała historja habsburgskiej monarchji ostatnich 32 lat, była niczem innem, jak tylko długim szeregiem nieudałych prób wynalezienia takiej formy, w którąby dała się wlać owa pożądana „nowa Austrja.“ Po r. 1848 myślano to uczynić drogą terorystycznej centralizacji i unitaryzmu. Nieszczęśliwa kampanja włoska przymusiła wstąpić na inną drogę i wtedy dotykalnie przekonano się, jak absolutnie bezpłodnym był poprzedni systemat, pomimo odrętwienia w jakie pogrążył ludy Austrji, odrętwienia, które w Europie długo uważano za spokój. Przy pierwszym słowie swobody, jakie się rozległo od stopni tronu, w nadziei, że pragnienie wolności osobistej i rządu reprezentacyjnego wpłynie wszędzie na zapomnienie praw historycznych i narodowych, ludy te rozpierzchły się. Madjary i Chorwaci stanowczo odmówili wejścia do cesarskiego parlamentu, Czesi wstąpili jedynie pod warunkiem, że przyznane im zostaną historyczne prawa ich korony i natychmiast cofnęli się, skoro im tylko tego odmówiono. Zamiast silnego państwowego organizmu z bratnio połączonymi ludami, oczom Europy przedstawił się za życia prawie rozkładający się trup, jakiegoś nadnaturalnego potworu. Widok był tak nieoczekiwany i tak uderzający, że zewsząd powstał krzyk o koniecznym, bliskim upadku Austrji. Fracuzcy pisarze i uczeni, pierwsi, nienamyślając się, postanowili, że Austrja żyć *nie może*; za nimi do tego samego wniosku doszli i angielscy, co zaś dotyczy nas, to my mądry ten wyrok wydaliśmy daleko jeszcze wcześniej i wówczas przyczepiliśmy się tylko do wywodów Francuzów i Anglików jako do najlepszego i niewątpliwego dowodu nieomylności naszego własnego wyroku. U nas, przyczyny i podstawy tego wyroku obrabiały się tak ściśle, tak drobiazgowo, dowodziły się tak dotykalnie, że do prawdy, można do pewnego stopnia przyznać rację wypowiedzianej przez pewnego wiedeńskiego hofrata myśli, że właśnie rosyjscy uczeni i pisarze, najlepiej objaśnili Austrję gdzie ma szukać, w razie niebezpieczeństwa, zbawienia. Do r. 1866, związana z Związkiem niemieckim i współzawodnicząca w nim z Prusami, Austrja, nie mogła przyznać nie tylko dominującego, ale nawet równego znaczenia żywiołowi słowiańskiemu w swojem państwie, przymuszoną ona była absolutnie we wszystkiem poddać go żywiołowi niemieckiemu. Lecz rok ten, w którym spełniło się przymusowe lecz dla Austrji zbawienne wykluczenie jej ze Związku niemieckiego, wskazał nakoniec jedyną pewną drogę odrodzenia habsburskiej monarchji; a ostatnia nasza wojna z Turkami, ostatecznie gnębiąca Turcję, dała tak długo i napróżno szukaną formę „Nowej Austrji“. Forma ta — Monarchja federacyjna, ugruntowana na podstawie — nie przeżytych praw historycznych, ale nowego, więcej potężnego i pełnego sił żywotnych prawa narodowości. Raz znalazłszy formułę, zawsze nie można tego zaprzeczyć — odznaczający się wielkim politycznym taktem Habsburgi, śmiało, choć ostrożnie, poszli tą drogą i obecnie za pomocą wszelkich środków, jakie mają w swem ręku, decentralizują swoją monarchję, przekształcają ją na federację. Zarazem świadomi są zupełnie tego i właśnie do tego dążą, że federacja, z samej istoty swojej pozbawioną jest charakteru zaczepnego i siły napadu na kogo bądź, lecz zato i z tejże samej przyczyny obdarzona w wysokim stopniu siłą odporną, ochraniającą, stanie się koniecznie środkiem ciężkości i dla znajdujących się na zewnątrz jej, małych państewek i narodowości, mających pewne powody obawiania się, jeżeli nie o swą polityczną niezależność, to przynajmniej o narodowy swój samobyt. Więcej niż prawdopodobne, w dalszej lub bliższej przyszłości, oderwanie się Niemców od tej federacji również przewidują Habsburgi i nic to ich nie straszy. Przeciwnie, widzą oni w tem bardzo logicznie gwarancję pewnej przyszłości dla „Austrjackiego panslawizmu“ — używam tego wyrażenia jedynie dla tego, ażeby nie odstępować od terminu przyjętego przez „Ruś“, choć wyrażenie to wcale nie oddaje zasadniczej myśli austro-bismarkowskiego planu, a nawet przeciwnie, wypacza go poniekąd. Plan ten ma na celu stworzyć nie „austrjacki“ i nie „panslawizm“, ale „Habsburską wschodnią federację“, którą, choćby dla tego nie można nazwać słowiańską, że do niej wejść muszą w charakterze równouprawnionych i inne narodowości, a mianowicie Madjary, Rumuni (wszyscy w ogóle) oraz niewielka część Niemców, mających w drodze uorganizowanej przez państwo emigracji, osiedlić się na Bałkańskim półwyspie. Ogniskiem i głównem ogniwem tej federacji ma być, według myśli planotwórców, nie ta lub inna narodowość, z których żadna nie powinna panować nad drugą — a jedynie stojący na zewnątrz ich wszystkich dom Habsburgów. Federacja pod hegemonją Niemców byłaby zawsze przedmiotem niedowierzania i strachu dla słowiańskich i innych narodowości, któreby nigdy nie przystąpiły do niej szczerze i zawsze starałyby się znaleźć dla siebie inny punkt oparcia. Federacja atoli pod egidą nauczonych gorzkiem doświadczeniem i wskutek tego prawdziwie liberalnych Habsburgów, nie tylko nie zawiera w sobie nic strasznego, lecz nawet przedstawia wiele korzyści, albowiem taka forma państwowa, zabezpieczając zasadnicze prawa każdej narodowości, posiada jednocześnie możność wstrzymania nieumiarkowanych zapędów niektórych z nich, gdyby te dążyły do naruszenia praw innych.

Oto jest prawdziwa istota habsbursko-bismarkowskiego planu. Do tego dodać należy, że Habsburgi nie stoją z nim w Austrji odosobnieni. Podtrzymuje ich — prócz Niemców federalistów, których liczba z każdym dniem wzrasta — jeszcze i część stronnictwa wiernokonstytucyjnego, t. z. „bośniackie-lewe“ z Plenerem i Coroninim na czele. Ci nie przesiąkli jeszcze całym tym planem w zupełności, jeszcze starają się wstrzymywać stosowanie go do spraw wewnętrznych, lecz za to politykę zewnętrzną popierają w zupełności i dla niej pogodzą się bardzo prędko z wewnętrzną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Lada chwila go już otrzymają. (P. R.)

TEORJA I PRAKTYKA

— Tak bracie, hasłem patrjoty
Jest nic nie czynić dla zysku.
Na jakiembądź stanowisku,
Pamiętać że jest historja.
Żadnej dwuznacznej roboty!
Oto jest moja teorja.

A to, że z łaski hrabiego,
Zasiadłem w bankowem biurze,
Na intratnej synekurze —
To z tego nic nie wynika.
To, widzisz, jest co innego . . . .
— Rozumiem, to jest praktyka.

M. Rodoć.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Z jednej strony deszcz z zimnem na pogodę godzą, z drugiej stronnictwo w Radzie miejskiej, zwane Kłótnia i Zgoda, czy tam Łączność, również na zgodę co do uchwalić się mającej pożyczki godzą... Jednem słowem walka stronnictw na niebie i na ziemi, a kto wie czy i nie w piekle, jeżeli jak piszą, trzęsienia ziemi w biednym Zagrzebiu znowu dają się odczuwać.

Owa głośna kłótnia o pożyczkę dla Lwowa do tego stopnia się roznamiętnia, że w niedzielę opozycja sama bojąc się eksplozji wśród miasta, wyniosła się na przedmieście i w ustroniu zwanem Ogrodem Prochaski odbyła walne zgromadzenie. Jako obywatel miasta Lwowa, jako wyborca mający honor należeć do środka, to jest do samej wyłącznie Łączności, nie mogę wytrzymać, żebym do tej publicznej borby nie wtrącił także swoich trzech groszy... Szanowni czytelnicy miejscy! Czuję się nabitym niezmier-

nej wagi projektem, z którego, zdaje mi się, całe miasto będzie zadowolnione, i które przy następnych wyborach niezawodnie mi zgotuje krzesło radzieckie w przyszłym senacie miejskim. Na mittingu u Prochaski, niestety, nie mogłem się dostać do głosu, w piórze albowiem czuję się daleko mocniejszym niż w buzi, więc z obawy, aby wielki mój projekt nie zmarniał gdzie w skrytości własnych piersi, poważam się wypisać go tutaj dla pociechy publicznej.

Pan profesor Biliński w sprawozdaniu swojem chciał koniecznie uderzyć do naszej ambicji i zawstydzić, że nie mamy żadnych długów, posiadając dwunastomiljonowy majątek. Przyznaję wielką rację jego argumentom i w części podzielam te zapatrywania, bo rzeczywiście dzisiaj trudno się nazwać porządnym obywatelem, jeżeli się nie ma długów,. Ja pójdę nawet dalej i nazwę to czynem niepatrjotycznym, albo jeszcze czemś gorszem; kto bowiem nie robi długów, nie popiera industrji krajowej, przeciwdziała rozwojowi instytucyj kredytowych, które dzięki takim przekonaniom, świetnie prosperują dając po 16% uczciwej dywidendy, chłopom możność przesiedlenia się do Ameryki, a naszym delegatom zasługę uchwalenia praw o bezpłatnej konwersji jednych długów na drugie. Bez tego z czemżeby ta delegacja powróciła do kraju z tak mozolnej reichsratowej kampanji? Chyba z koleją transwersalną na wierzbie!... Otóż dobrze robi p. Biliński, wykluwając oczy Lwowianom, że dotąd na wstyd dla Europy obywają się bez długów... Ale biorąc rzecz z drugiej strony i profesor Ciesielski ma wielką rację, jeżeli powiada: sprzedać wszystkie dobra ziemskie i lasy i pastwiska, użytki i nieużytki, sprzedać propinację i administrację temi majątkami, a za to sprawić dębowe dyle na.. pokrycie Peltwi, tak po gospodarsku nieprzymierzając jak most szlachecki, w którym jeżeli uwięźnie jaki arendarz wiozący mięso biedą do dworu, to zawsze uwięźnie bieda a nie żyd i nie żaden człowiek... Otóż ja państwu powiadam, że mój projekt sprawi to, że będzie wilk syty i owca cała, że i dobra będziemy mieli i długów nie narobimy a pieniędzy zbierzemy moc. Stawiam więc poprawkę do wniosku profesora z Łyczakowa: nie sprzedawać dóbr ziemskich, ale je wydzierżawić za połowę dziś pobieranej tenuty... Śmiejcie się obywatele, jednak ja udowodnię że to najkorzystniejsza będzie operacja. Tak jest, wydzierżawić za 30000 zł. rocznie (dziś dochód czyni podobno przeszło 60) i to na długie lata, naprzykład na lat trzysta! Jeden tylko warunek: żeby dzierżawca zapłacił tenutę z góry za wszystkie lata, co każden zrobi niezawodnie, mając takie zniżenie ceny do połowy. Tym sposobem miasto odrazu dostanie dziewięć miljonów kapitału, z którego cztery obróci na nakłady publiczne, a pięć odda na procent do kasy oszczędności i będzie miało z nich dochodu 250000 zł. rocznie bez kłopotów i szykan rachunkowych, bez obciążania mieszkańców nowemi podatkami, dodatkami i dodatkami od dodatków.

Ktoś z czytelników gotów mi zarzucić paradoks; — ja się na to uśmiecham, bo jestem pewny, że mój projekt nie będzie gorszym od projektu p. profesora Ciesielskiego, a wiadomo, jaka to głowa u tego profesora.... Zresztą tego rodzaju pomysł nie będzie żadną nowością, boć i hr. Baworowski stanowiąc swoją fundację dla Galicji, także rozpoczął grać na miljony. — Robi kraj sukcesorem swego majątku, wynoszącego dziś dwa miljony z tem zastrzeżeniem, że użytkować z niego będzie, kiedy urośnie do dziesięciu miljonów. Z tych dochód z pięciu pokryje wydatki zapisów, a drugie pięć będzie znów rosło do dwudziestu miljonów.... Pomysł rzeczywiście wspaniały; ja sam czuję, że miljony kotłują mi po głowie jak gaz węglowy przy zaczadzeniu — co to będzie z tych miljonów.... okropność! dwadzieścia pięć milionów na cele użyteczności publicznej....

Szanujemy i wysoce cenimy szlachetną ofiarność hr. Baworowskiego dla dobra powszechnego, lecz niech daruje, że wcale nam ślinka nie idzie na owe dalekie miljony. Bogiem a prawdą, wolelibyśmy widzieć ten dochód z dwóch miljonów teraz, choćby w kwocie stu tysięcy rocznie, niż takie szerokie nadzieje po długiej wieczności. Niestety, widzieliśmy coś podobnego w fundacji Staszyca. I on też w ten sposób zapisał dobra Towarzystwu Hrubieszowskiemu, żeby z dochodów kupowano inne majątki ziemskie i uwłaszczano w nich chłopów. Gdyby więc fundacja Staszyca rzeczywiście spełniła wolę jego, nie potrzeba było w roku 1864 uwłaszczenia włościan, Towarzystwo Hrubieszowskie powinno było przynajmniej pół królestwa zakupić i grunta włościańskie rozdarować. Tymczasem, owe liczne folwarki, lasy, młyny i zakłady pod rządem prezesa, quasi kuratora i rady, przynosiły i przynoszą tyle właśnie, ile potrzeba na ich administrację. (Zawsze Rada miejska lwowska lepiej gospodaruje, bo miewa czasem dwa procent od wartości). Więc jeżeli dobra hr. Baworowskiego w ten sposób kiedyś będą administrowane, a dlaczegoż miałyby być inaczej, to potomkowie nasi długo zapewne poczekają na owe dziesięć miljonów z dwóch, kto wie czy nie dłużej, niż chłopi mający być wykupieni przez Towarzystwo Hrubieszowskie pod zarządem sukcesyjnego kuratora... Taki to los zwykle spotyka filantropijne fundacje, jeżeli ich fundatorowie chcą zagrać na grubo!

Zostawmy miljony i różne gruszki na wierzbie, a zejdźmy do tych drobnych muszek, które dobremi są jeżeli zaraz wpadną do ust zgłodniałego... Oto mości panowie radni miejscy, tyle rzeczy projektujecie, o tylu miljonach prowadzicie walkę, lecz gdybyście chcieli coś zrobić dla zdrowia i wygody dzisiejszych mieszkańców, bylibyśmy wam mocno obowiązani... Nie ma mieściny w Niemczech, gdzieby nie było publicznego, oświeconego w nocy zegara, a stolica Galicji z tylu attynencjami, nie może się zdobyć na szklanny cyferblat za 150 reńskich najwyżej i lampkę, która by nasz zegar ratuszowy oświeciła. Dalej, po wszystkich większych miastach są urządzone kaplice dla zmarłych, gdzie zaraz po śmierci wynoszą nieboszczyków, aby w mieszkaniach nie truli powietrza i nie roznosili zarazy — u nas we Lwowie wszystko idzie po dawnemu. Urządzenie takich kaplic nie wiele kosztuje, i dobrze się opłaca, gdyż za pomieszczenie zwłok pobiera się wynagrodzenie, czyżby więc nie wypadało zrobić coś podobnego choćby na próbę... Dalej... plagą dla miasta i bezpieczeństwa jeżeli nie ludzi, to klombów w ogrodzie miejskim są gromady wałęsających się psów, które z całą swobodą harcują po kwiatach i napełniają strachem bawiące się tam dzieci... Czyby znowu nie wypadało jakoś temu zapobiedz i ogród ogrodzić... Przynajmniej jedno miejsce bezpieczne miałaby stotysięczna ludność do spaceru, a kto wie czy i nie przyjemne, gdyby straż miejska nie wpuszczała do niego przychodniów nieprzyzwoicie ubranych, jak to się praktykuje gdzieindziej...

W końcu naszej gawędy, wypada nam wspomnieć o uczcie wydanej w niedzielę na cześć posła naszego, członka Wydziału krajowego i Prezydenta Izby poselskiej w Wiedniu. Jeżeli kto, to rzeczywiście p. dr. Smolka zasłużył sobie na tyle czci i uwielbienia, jakiem go społeczeństwo nasze otacza. Pominąwszy wysoką wartość jego jako człowieka niezrównanej dobroci i szlachetności, to zasługi szanownego posła na polu publicznej działalności, stawiają go dziś wysoko... Ale na co tu długo mówić: pokażcie mi kogo bądź we Lwowie, a może i w całym kraju, ktoby nie znał i nie uwielbiał czcigodnego prezydenta. Imię jego i szanowna, tyle odznaczająca się postać, już tak dalece zlały się z myślą i pamięcią narodu, tyle używają czci i poszanowania, że mówiąc o nich na tem miejscu, będziemy tylko wyrazem opinji, jeżeli obok toastów wzniesionych na uczcie, dołożymy te kilka słów naszego hołdu i życzeń, aby nam długo, bardzo długo jeszcze przyświecał i przewodniczył na pożytek i chwałę narodu.

Przedstawienia p. Donato

i jego cudownej uczennicy p. Lucilli.

Przedstawienia p. Donato, głównego redaktora Revue internationale de Magnetisme, dyrektora uniwersalnego związku fizjo-psychologicznego, honorowego wiceprezydenta koła elektro-magnetycznego paryskiego i jego cudownej uczennicy p. Lucilli, obznajomiły lwowską publiczność z pewnemi objawami tak zwanego snu magnetycznego, albo somnambulizmu wywołanego.

Doświadczenia p. Donato były bardzo zajmujące, ale za to o wiele mniej pouczające. Pan Donato, pomimo wszystkich swych tytułów naukowych, z pewną emfazą wypisywanych na afiszach, przedstawia się jako prosty kuglarz, któremu nie idzie o to, by obeznać zebraną publiczność z charakterystycznemi objawami zagadkowego jak dotąd stanu ludzkiego organizmu; ale o to, by swemi eksperymentami wprawić widzów w zdumienie, wywołać liczne oklaski i, co za tem idzie — zebrać jak najliczniejszą kolekcję monety. Tem się tylko tłumaczy, że p. Donato, zamiast ograniczać się w swych przedstawieniach do doświadczeń, które odkrywają różne strony somnambulizmu — ucieka się do rozmaitych sztuczek, które wiele mówią o zręczności p. Donato i o tresurze cudownej jego uczennicy; ale za to daleko mniej o naturze i właściwościach somnambulizmu. Nie chcę przez to rzucać podejrzenia na produkcje p. Donato, posądzać go o szarlatanizm. I owszem, o ile mogę sądzić o nich przez porównanie ich z tem, co dzisiaj uważa nauka za fakty z tego zakresu objawów dowiedzione, przekonany jestem, że p. Lucilli istotnie bywa usypianą. Wypowiadam tu tylko swój żal, że p. Donato, chociażby ze względu na swe naukowe tytuły, nie postarał się o to, by zachować w swych doświadczeniach więcej prostoty, metodyczności. Wprawdzie zdjęłoby to z p. Lucilli ów urok cudowności, jakim p. Donato pragnie otoczyć swą uczennicę; ale za to uwolniłoby publiczność od niedowierzania i

podejrzywania o szarlatanizm, oraz uczyniłoby zbytecznem ów prawdziwie barbarzyński eksperyment, który najwymowniej świadczy, że uczony p. Donato i jego cudowna uczennica nie są czem innem, jak zwykłymi kuglarzami, gotowymi dla grosza poddawać się doświadczeniom, chociażby najbardziej ubliżającym godności ludzkiej. Mam tu na myśli przebijanie ręki igłą od kapelusza długości na kilka cali. Dziwić się należy, że Dyrekcja policji nie użyła tu swego prawa i nie wzbroniła tego rodzaju eksperymentu, który niczem nie daje się usprawiedliwić, gdyż na okazanie nieczułości, wystarczyłoby prostą igłę od szycia wetknąć w ciało; ale przebijać rękę na wskróś igłą grubości druta od pończoch... tego by nawet bydlęciu robić nie dozwolono dla zabawki.

Przechodząc do samych produkcji p. Donato, te dadzą się podciągnąć pod trzy grupy: somnambulizmu, katalepsji i tężca. Faktem dziś jest naukowym, że wszystkie te patologiczne stany dają się w organizmach żyjących wywoływać sztucznie za pomocą właściwych środków. Cechą główną somnambulizmu jest utrata, jeżeli niezupełna, to przynajmniej częściowa, świadomości, a zupełna woli. Człowiek w tym stanie staje się automatem nie tylko w ruchach, ale nawet w uczuciach i myślach, t. j. uspiona osoba działa, myśli i czuje tak, jak jej rozkazuje magnetyzer. Rozkazów tych wszakże osoba uspiona nie może odgadywać, gdyż nie posiada jasnowidzenia. Muszą one jej być w jakikolwiek bądź sposób udzielone, jeżeli nie zapomocą głosu, lub mimiki, to przynajmniej za pomocą manipulacji, jakich p. Donato używa, manipulacji, które mogą się udawać tylko z p. Lucilli, ale stanowczo nie udadzą się z kim innym. Chociaż bowiem w somnambulizmie zmysły dochodzą do największej czułości i każdy w tym stanie odczuje zbliżenie się obcej ręki do siebie i najlżejszy prąd powietrza — ale na to, by można było rozumieć znaczenie każdego zbliżenia się ręki i jej manipulacje, zastępujące mowę — potrzeba być cudowną uczennicą, t. j. przebyć długą szkołę tresury. Dodać zresztą należy, że p. Lucilli zachowuje w stanie somnambulicznym pewien stopień świadomości i wie, co ma robić. Najlepszym tego dowodem jest przebijanie się jej przez mur z żywych osób. Zabiera się ona do rzeczy z zupełną wiadomością tego, co ma robić, bez żadnych prób i wahań — z precyzją, która kazałaby wierzyć, że robi to w stanie czuwania, gdyby nie nadzwyczajna siła, jaką tym razem objawia. Najbardziej zdumiewającym ze wszystkich doświadczeń p. Donato, jest powtarzanie przez p. Lucillę zdań, które mu na ucho ktoś z publiczności podyktuje, a które on następnie powtarza jej tak cicho, że nikt ze stojących obok niego osób nie słyszy. Dodać potrzeba, że p. Lucilli ma wtedy uszy zatkane watą i oczy jak najszczelniej zawiązane. Czy mamy tu rzeczywiście objaw nadzwyczajnej czułości, do jakiej słuch dojść może pod wpływem somnambulizmu? Trudno na to odpowiedzieć! W każdym razie trudniejby było jeszcze wytłumaczyć ten fakt, przyjmując, że dzieje się to w stanie pozornego snu magnetycznego — czyli w stanie czuwania. Gdyż w tym stanie były właśnie wszystkie osoby, które otaczały p. Donato i nadstawiały dobrze uszu, a przecież nic nie słyszały z tego, co słyszała p. Lucilli, a że słyszała, najlepszy dowód w tem, że wszystko dosłownie powtarzała.

Mniej jeszcze zrozumiałem jest wykonywanie przez p. Lucillę poleceń publiczności, wypowiadanych na ucho p. Donato. Jeżeli tu także nie gra rolę słuch nadzwyczaj zaostrzony, to trzeba chyba przypuścić, że p. Donato porozumiewa się ze swą uczenicą za pomocą umówionych poruszeń ręki — co ma zresztą miejsce w innych jego produkcjach.

Co się tyczy katalepsji — jest nią bezwładność ciała i utrata wszelkiego czucia. Człowiek w tym stanie staje się jak wosk giętkim i przybiera postawę, jaką mu nadadzą, chociażby była najprzeciwniejsza naturze ludzkiej. Tężcem zaś nazywa się zesztywnienie ciała lub tylko pewnych jego części, takie, że łatwiej np. złamać rękę, niż ją rozgiąć, albo zgiąć.

Na zakończenie życzyćby należało, ażeby p. Donato i jemu podobni, przyjeżdżając do nas nie zapominali, że przyjeżdżają do kraju polskiego i postarali się o to, by ich przemówienia do publiczności tłómaczone były nie na niemiecki język, ale na polski.

Władysław Kozłowski.

Z HEINE'GO.

Drżąc księżyc świeci. W pokoju
Dziewczyna spi urodziwa —
Z dworu piosenki i dźwięki . . .
Ktoś, jakby walca przygrywa.

«Muszę też z okna popatrzeć
Kto mi mój spokój zamąca?»
Na to w odpowiedź tak śpiewa
Mara na dole stojąca:

«Raz taniec tyś mi przyrzekła,
Lecz byłaś niewierną słowu;
A dziś jest bal na smętarzu . . .
Chodź! Będziem tańczyli znowu».

Dziewczynę szał rozpłomienia,
Coś ją porywa, coś pali,
Za kościotrupem tańczącym
Idzie wciąż dalej i dalej.

Ten tańcząc, kręci się, skacze,
W takt bije kościaną nogą,
I kiwa czaszką i kiwa
W blasku księżyca złowrogo.

St. Rossowski.

KORRESPONDENCJA.

(Dokończenie).

Poznań w czerwcu 1881.

Pozwólcie, że od pól i zboża zwrócę się do p. Jackowskiego z Pomarzanowic pod Pobiedziskami. Kto jest p. Jackowski, mowe wam i wiadomo; ale nie zawadzi, aby o nim i jego działalności nieco tu pomówić. Wiadomo to powszechnie, iż tutaj traktują nas zawsze i wszędzie wedle zasad krzyżackich swych przodków; rząd nigdzie nie poda ręki, aby podnieść materjalne stosunki nasze. Do tego stopnia doszedł nawet w tej mierze, iż nawet szkodę tym systemem wyrządza stosunkom ogólnym krajowym. Ztąd też to pochodzi, że obojętnem okiem patrzy na upadek i krytyczny stan gospodarstwa w Wielkopolsce. Przeciwnie, właściciele Niemcy doznają poparcia rządowego, już to w drodze bezprocentowych pożyczek, już też ułatwianiem kupna ziemi polskiej, już też w inny sposób; ale Polacy? — dla nas istnieją ciężary wszelkiego rodzaju i prześladowania, nie zaś dobrodziejstwa stosunków ucywilizowanego państwa. Nie dziw przeto, iż u nas gospodarstwo wiejskie — tak większe jak i mniejsze — raptownie chylić się zaczęło ku upadkowi.

Trzeba było przedewszystkiem ratować chłopskich gospodarzy, którzy z jednej strony uciskani są przez rząd niezmiernemi podatkami, a zdrugiej powpadali w lichwiarskie ręce. Wolność wystawiania weksłów, szczególniej przysparzała chłopom klęsk, jak to jeszcze teraz rozliczne wykazują procesy, po zniesieeiu już wolności lichwiarskiej. Otóż p. Jackowski poświęcił się na ratowanie naszych gospodarstw, a szczególniej na ratowanie gospodarzy chłopów. Zakładając tak zwane kółka rolnicze, w których skład wchodzą: dziedzice, proboszcz i okoliczni gospodarze, doprćwadził z czasem do tego, iż rozprzestrzenił takowe nie tylko na całe Księztwo, ale i na Prusy Zachodnie. Kółka te, jak najzbawienniejszy wywierają wpływ na stosunki gospodarcze nasze. Tam to chłopek nasz widząc, że mu i pan i ksiądz dobrze radzą, że go pouczają, iż już ostać się nie może dawny zastój i bezradność, że trzeba inaczej ziemię uprawiać i obsiewać, a nie tak jak ojcowie niegdyś czynili, orząc np. prostą sochą, lub włócząc broną drewnianą; z całym zapałem rzucił się do ulepszeń i stał się zagorzałym zwolennikiem Kółek, a wielbicielem ukochanego ich patrona, p. Jackowskiego. Pan Jackowski też zaledwie podołać może obowiązkom patronatu. Wszędzie go chcą mieć, wszędzie widzieć, wszędzie słyszeć serdeczne nauki jego. To też jeździ, zachęca, uczy i podnosi umysły, ile sił starczy. W Anglji lub Francji pomnik by takiemu człowiekowi wystawiono; nawet i Niemcy u siebie możeby się z czasem na to zdobyły; ale u nas w Księstwie?! Toć to agitator widoczny — to krzewiciel polonizmu. Niechnoby wolno było jakoś zabronić owych Kółek, — niechby się tylko jako pośliznęła noga panu Jackowskiemu, a wnet by go spotkał los p. Miarki, a Kółka jego rozpędzono by na wszystkie wiatry. Ale tu w żaden sposób rząd o nic zahaczyć nie może — Kółka więc rozrastają się i kwitną na utrapienie krzyżackie, a p. Jackowski działa jak najzbawienniej. Trzeba przecież jakoś przynajmniej zatamować pomyślny kierunek owych stowarzyszeń. Otóż niepodobna, iżby na posiedzeniach owych obyć się miało ze strony Polaków bez niecnych konspiracyj politycznych, tak rozumują tutejsi Niemcy; ergo nasłać im policję celem kontroli, celem nałożenia pęt na zbyt szczęśliwy i pomyślny rozwój towarzystw rolniczych. W czułej tedy troskliwości owej, niejednego środeczka użyto, ażeby rzecz zwichnąć a nie chcę się szczegółowo o tem rozpisywać; ale wszystko to było beskuteczne. Nie mogąc więc w żaden sposób inaczej, poczęli nasi najserdeczniejsi minować istnienie towarzystw wspomnianych, zakładając tak zwane landwirtschaftliche Vereine na spo-

sób naszych Kółek. Zdarzyło się nawet, że jeden z landratów, widocznie gorączkowo rozmiłowany w agronomji, postarał się o sprowadzenie na posiedzenie takowych ferajnów wędrownego nauczyciela, p. Pflückera, a to celem pouczenia zebranych członków przez odczyty tego pana, a iżby i ciemne polskie chłopstwo mogło korzystać ze zbawiennej nauki i kultury pruskiej, nakazał podwładnym sołtysom, aby odnośnych gospodarzy o posiedzeniu ferajnu i o wykładach p. Pflückera powiadomili, czyli po prostu: aby ich do przybycia na ferajn zniewolili. Czy takowe środeczki dopną celu, wątpić należy. O czem nie wątpimy, to o tem, iżby p. Jackowski kiedykolwiek przestał czuwać nad stworzoną przez siebie, a tak zbawienną i szlachetną instytucją, jaką jest stowarzyszenie agronomiczne, lubo podobno i na tem polu nie zawsze przychodzi mu zbierać czyste zboże, ale czasami i kąkole.

P. T.

Michał Munkacsy.

Z wydanej w Paryżu broszury, którą mamy przed sobą, wyjmujemy następujące, ciekawe szczegóły o sławnym węgierskim malarzu.

„...Romansowo brzmi historja małego Michałka, który zaledwie cztery lata mając, pozbawiony został troskliwości matki, a wkrótce potem stracił także i ojca, który za udział w powstaniu węgierskiem, w r. 1848 do więzienia wtrącony, tam zachorował i umarł. Pięcioro bez opieki dzieci zostało przed bramą więzienia, szczęściem znalazła się równa liczba wujów i ciotek. Jedna z nich wzięła do siebie małego Michałka i stała się dla niego drugą matką. Ale pewnej nocy rozbójnicy napadli na dom, zrabowali go, wymordowali mieszkańców i zostawili tylko samego malca, pomiędzy czterema gołemi ścianami i trupem kobiety, która mu zastępowała matkę.

* * *

Wuj chłopca, adwokat Peök, wziął dziecko do siebie. Lecz on sam stracił podczas rewolucji cały majątek. Za ubogi, ażeby kazać uczyć Michałka, oddał go do rzemiosła, do stolarza. Po czterech latach nauki młodzieniec został wyzwolony jako czeladnik.

Pracował ciężko ale czuł się szczęśliwym, mogąc rozporządzać dowolnie nielicznemi godzinami odpoczynku i zadowalniać pragnienie nauki i wiedzy.

Kilku małych przyjaciół, którzy chodzili do szkoły w Arad, gdzie Michał Lieb *) oddany był do rzemiosła, zostało jego nauczycielami. Najpierw nauczył się czytać i pisać, następnie studjował historję i literaturę. Czytanie dzieł poetów zachwycało go i pobudziło go do poetyckiej działalności, lecz powołanie jego było innem.

Dzięki długiemu przeciągowi czasu, który spędził w warsztacie stolarza, wyryły się jasno w jego młodzieńczym umyśle postacie towarzyszów pracy i sceny ludowe, przy których był obecny, i gdy później zamienił hebel na sztalugi, pokazało się co za wybornym był znawcą ludowego życia Węgrów.

Przez trzy lata pracował pilnie jako czeladnik za tygodniową zapłatą $2\frac{1}{2}$ złotych, od 5 rano do wieczora. Do późna w nocy siedział pochylony nad książkami.

Ciężkie zmęczenie fizyczne, wyczerpująca praca umysłowa i niedostateczne pożywienie — raz na sześć miesięcy jadł ciepłą strawę — wyczerpały siły młodego czeladnika stolarskiego, który był właśnie w perjodzie rozwijania się. Wpadł w ciężką febrę, która go uczyniła niezdolnym do dalszej pracy. Szczęśliwym wypadkiem wuj jego, wspomniany powyżej adwokat Peök, dorobił się tymczasem trochę majątku, co mu dozwoliło zabrać młodzieńca do siebie. Był to zwrot stanowczy w życiu Michała Munkacsy.

* * *

Munkacsy zapoznał się w Gyula z przejeżdżającym malarzem portrecistą, nazwiskiem Samosy, *) biedakiem, który chodził od domu do domu szukając roboty. Munkacsy, gdy mu się zdarzało być obecnym przy malowaniu portretów, powstrzymując oddech wiódł oczami za odtwarzającym kształty, pędzlem artysty, bardzo szybko doszedł do tego przekonania, że urodził się na malarza, i zaklął swego wuja, ażeby mu pozwolił uczyć się u Samosy'ego. Ten rozumny i zacny człowiek przyjął serdecznie młodzieńca, doskonalił go w swoim zawodzie i zabrał później z sobą do Arad, gdzie miał malować kilka portretów i gdzie Lieb zaczął dawać lekcje rysunków. Honorarjum było mu najczęściej wypłacane w postaci obiadu. Raz jednak odniósł prawdziwy tryumf, gdy wymalowawszy całą rodzinę krawca, otrzymał w nagrodę za swój trud, ciepły, doskonały zimowy paltot.

Pracował jednakże dalej pod kierownictwem Samosy'ego. Zacny malarz uczył go nietylko rysunku i malarstwa, lecz udzielał mu także wiadomości literackich. Młody człowiek robił szybkie postępy; wymalował kilka obrazów, które zbył za małą cenę i powrócił wreszcie do swego wuja do Gyula, gdzie pewien czas malował z natury, powiększej części sceny z życia ludu. Jeden z tych obrazów, nad którym trzy miesiące pracował, znalazł tak wielkie uznanie, że postanowił pojechać z nim do Pesztu i tam go wystawić.

Powodzenie przeszło wszelkie oczekiwania, i „Kunstverein" kupił obraz za 80 guldenów.

Była to milutka idylla. „Zaprosiny na wesele" — przedstawiająca dwóch świątecznie wystrojonych, obwieszonych wstążkami chłopców, którzy do chłopskiej chałupy wchodzą, ażeby mieszkańców zaprosić na wesele. Podczas gdy jeden z dwóch młodych ludzi, najsumienniej się ze swojej misji wywiązuje, korzysta drugi ze sposobności, ażeby się zbliżyć do ładnej córki gospodarza.

Drugi obraz znalazł kupca za 130 zł. Z takim kapitałem w kieszeni można się już było odważyć w świat puścić. Młody malarz zwrócił się najpierw do Wiednia, gdzie robił studja w galerjach obrazów, a w roku 1866 udał się do Pesztu. Tam zapadł na oczy, która to choroba groziła smutnem zakończeniem jego, ledwie co zrozpoczętej artystycznej karjery. Sześć miesięcy przepędził na wpół ślepy w szpitalu, a gdy mógł nareszcie szpital opuścić, udał się z dwudziestoma guldenami w kieszeni do Monachjum, gdzie bawił dwa lata. Następnie udał się do Düsseldorfu.

W tem ostatniem mieście wymalował obraz „Ostatni dzień skazanego na śmierć", który stał się kamieniem węgielnym jego sławy.

Malarz Knaus, któremu zwierzył się z planem obrazu, zganił stanowczo śmiałe przedsięwzięcie początkującego artysty. Młody malarz nie dał się jednak odstraszyć; malował spokojnie swój obraz, a w miarę jak praca jego postępowała, rozchodziła się sława artysty po mieście, aż wreszcie Knaus sam do pracowni malarza zapukał, i na widok prawie skończonej kompozycji nie mógł powstrzymać okrzyku podziwienia. Za radą przyjaciół posłał Munkacsy swój obraz do Paryża, gdzie na wystawie 1870 roku ogromne zrobił wrażenie; przez reprodukcję dzieło to stało się niezwykle popularnem i rozpowszechniło się po całej Europie.

Po tym obrazie nastąpiły: o dramatycznym kolorycie „Marzyciel nocny", wstrząsające studjum społeczne „Lombard", przez peszteńskie muzeum zakupieni „Rekruci", następnie „Epizod z węgierskiej walki o wolność."

Dalej przyszły „Bohater wioskowy", „Interieur d'atelier", „Egzamin w szkole wiejskiej", „Dwie matki".

Ale dopiero w obrazie „Milton, dyktujący swojej córce „Raj utracony", pokazał Munkacsy cały swój talent potężny i oryginalny, jak zawsze, i jednocześnie wolny już od ciemnego kolorytu maniery, którą szpecił swoje obrazy.

Jego drugim wielkim obrazem jest „Chrystus przed Piłatem", arcydzieło, z którem ani jeden z 2448 na tegorocznej wystawie zawieszonych obrazów, równać się nie może.

Najpierwsi paryzcy krytycy stawiają Munkacsego w jednym rzędzie z Rembrandtem i Velasquezem. Francja rości sobie w połowie prawo do narodowości malarza, a jeden z francuskich dzienników nazwał go „malarzem francuzkim urodzonym na Węgrzech".

Począwszy od najmniejszego prowincjonalnego dzienniczka, aż do poważnych „Gazette des Beaux Arts" i „Revue des deux Mondes", cała prasa francuska nie skąpiła węgierskiemu malarzowi pochwał i przygotowała mu tryumf, do którego przyłączyli się nawet dotychczasowi przeciwnicy mistrza.

Talent, siła woli i niewzruszona wiara w swą gwiazdę, oto co podtrzymywało Munkacsy'ego w walce z zawistnym losem, i dopomogło mu do ostatecznego zwycięstwa.

*) Nazwisko Munkacsy przybrał malarz dopiero od lat mniej więcej czternastu. Wybór nazwiska odnieść należy do tej okoliczności, że miejscem urodzenia Michała Lieb była wieś Munkacs. (P. R.)

*) Nie Samosy, lecz pewien austrjacki pułkownik był pierwszym nauczycielem malarstwa młodego człowieka. (P. R.)

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Bliziński Józef.* Mośkowe swaty, komedja w jednym akcie, 8-ka str. 53. Warszawa 1881. 55 ct.

— *Dzieje Polski* według najnowszych źródeł

streszczone dla dzieci przez Sokoła. 8-ka str. 153. Warszawa 1881. Kartonowane 90 ct.

— *Kraszewski J. I.* Jelita. Legenda herbowa z r. 1331. 8-ka str. 193 194. Kraków 1881. 3 zł.

— *Pawiński Adolf.* Portugalia. Listy z podróży. 8-ka str. 304. Warszawa 1881. 2 zł. 25 ct.

— *Pilaski Leon.* O przywróceniu waluty metalicznej w Austrji w obec dzisiejszej walki złota ze srebrem. 8-ka, str. 71. Warszawa 1881. 1 zł. 15 ct.

— *Prusa Bolesława* Pisma, tom I. zawiera: Przygody Stasia. — Antek. — Powracająca fala. — Michałko. — Sieroca dola. 8-ka, str. Warszawa 1881. 2 zł. 25 ct.

Tissandier Gustaw. Męczennicy w imię nauki. Dzieło ozdobione 24-ma drzeworytami podług rysunków Kamila Gilberta, przekład z francuskiego. 8-ka, str. 300. Warszawa 1881. 3 zł., oprawne w płótno 4 zł.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Na ostatniem XXVIII posiedzeniu „Koła literackiego“, prof. dr. Józef Żuliński mówił o żypiu i pracach Jabłońskiego (ks. Eugenjusza Tupy), coczem „Koło“ uchwaliło ogłosić konkurs z nagrodą 100 zł. za napisanie książeczki dla ludu o Janie Sobieskim, ze szczególniejszem uwzględnieniem wyprawy Wiedeńskiej. Termin naznaczony do 1. stycznia, objętość brosznry 4 arkusze. Prócz członków wydziału, do komitetu powołano Małeckiego, Sawczyńskiego, Kubalę i Wojciechowskiego. Następne posiedzenie „Koła“ w piątek d. 24 b. m.

*** W Wilnie, drukiem J. Blumowicza, wyszła broszura p. t. „Argus. Szkice satyryczno-humorystyczne, zebrał Alfabet.“ Rzecz ciekawa z tego względu, że do niedawna w Wilnie nic po polsku drukować nie było wolno — co zaś do humorystyki, ta, w „Argusie“ po większej części słabiutka bardzo. Jeszcze uwaga: jest tam mała satyra M. Rodocia, którą jeszcze w r. z. Warszawska cenzura puścić nie chciała. Dziś przepuszczono ją w Wilnie.

*** Teofil Lenartowicz ukończył już swój kurs o literaturze polskiej w audytorjum uniwersytetu bolońskiego; dzienniki włoskie odzywają się z wielkiemi pochwałami, mianowicie o przekładzie Farysa Mickiewicza na język włoski.

*** Literatura czeska obficie zasila się przekładami z polskiego...

Oprócz poezyj Zaleskiego, Asnyka, Karola Brzozowskiego i innych, pomieszczanych w udatnem tłumaczeniu po pismach perjodzcznych, znajdujemy w wydawnictwach czeskich przekłady powieści Kraszewskiego „Podiviny“, Bałuckiego „Jen vysz!“ — Wilkońskiej „Dwa swiatky“ Grudzińskiego „Ukrainskié povidky“; pisząc o tych ostatnich Lumir zwraca uwagę na podobieństwo typów ludu ukraińskiego i czeskiego, dodając, że liczne rysy charakterystyczne w tych powieściach „jsou nam jako z dusze vzate“.

Przygotowuje się też wydawnictwo „Slovanské divadlo“ (Teatr słowiański), w którem mają być pomieszczone przekłady: „Sousedi“ Bałuckiego, „Spojeni“ Grabowskiego, „Socha“ (Posąg) i „Posledni zkouszka“ (Ostatnia próba) Szymanowskiego, „Na jedné kartie“ i „Czy vinou?“ Sienkiewicza, „Po cestie (po drodze) Gawalewicza i t. p.

*** Dzieła Littrégo wkrótce należeć będą do rzadkości, ponieważ rodzina jego nie pozwala ich drukować i wykupuje wszystkie egzemplarze znajdujące się w księgarniach; notatki i uzupełnienia, które Littré pozostawił, uległy podobno spaleniu.

*** Nowy obraz Siemiradzkiego „Polowanie na Motyle“, ma być wystawiony w Berlinie.

*** Józef Wieniawski zaangażowany został do Danji na piętnaście koncertów jesiennych.

*** W Londynie, utworzyło się towarzystwo mające na celu urządzanie międzynarodowych wystaw sztuk pięknych i w tym celu pod tytułem „United Arts Gallery“ wzniosło własny budynek w dzielnicy New Bond Street.

*** Wydawnictwo dzieł w Niemczech. Wykaz szczegółowy książek wydanych w Niemczech w 1880 r. ogłoszony przez Heinrichsa w Lipsku dowodzi, że liczba ich stale się zwiększa. Cyfra ogólna za r. 1880 wynosi 14.941 kiedy w 1879 stanowiła 14179. Największą ilość książek wydaaych stanowią podręczniki szkolne i książki dla młodzieży, mianowicie: 2446. Dalej, w malejącym stosunku idą: Prawo statystyka 1557; teologja 1390; beletrystyka 1209; medycyna 790; historja naturalna, chemja, farmacja 787; dzieła historyczne 752; dzieła ludowe, almrnachy 657; sztuki piękne, stenografia 627; handel 583; języki starożytne i wschodnie, archeologja, mitologja 533; języki nowożytne, stara litetura germańska 506; rolnictwo 433; pisma rozmaite 423; architektura, drogi żelazne, inżynierja, górnictwo i żegluga 403; bibljografia, encyklopedje 377; geografia, podróże 356; sztuka wojenna 353; kart geograficznych 301; matematyka, astronomja 201; filozofia 125; leśnictwo i zwierzyna 112; wolnomularstwo 20.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Wystawa robót kobiecych i wyrobów przemysłu domowego tkackiego w Muzeum przemysłowem miejskiem we Lwowie w r. 1881.

ODEZWA.

Zarząd Muzeum przemysłowego miejskiego uważając instytucję tę za powołaną do inicjatywy i popierania wszelkich usiłowań około rozwoju życia ekonomicznego w kraju, postanowił zająć się urządzeniem dorocznych wystaw częściowych w lokalnościach muzealnych.

W bieżącym więc roku Zarząd Muzeum pragnie urządzić wystawę robót kobiecych, oraz działu przemysłu domowego włościańskiego wyrobów tkackich i haftów.

W zakres tej wystawy mają wejść:

a) Roboty kobiece ręczne lub warsztatowe w ogóle jako to: hafty, roboty koronki, wyszywania, aplikacje, szycie białe i białe hafty itp. Wyłącza się tylko roboty modniarskie, krawieckie i kwieciarskie.

b) Wszelkie roboty tkackie i przemysłu domowego jako to: wyroby kilimków, dywaników, płótna, bielizny stołowej i t. p.

Czas trwania wystawy wyznacza się od 8. grudnia 1881 r. do 15. stycznia 1882 roku.

Osoby chcące przyjąć udział w wystawie mają przesłać swe zgłoszenia najdalej do 15. lipca r. b. adresując w tym celu korespondencją do Zarządu Muzeum przemysłowego miejskiego w Ratuszu.

Warunki wystawy są następujące:

Ze względu, że wystawa ma być urządzoną w lokalnościach muzealnych, a przedmioty wystawowe mogą być ulokowane na stołach lub ścianach, do przechowania zaś cenniejszych okazów będą przeznaczone szafy oszklone i gabloty — przeto nie wymaga się od wystawców żadnych osobnych sprzętów do przechowania okazów.

Za użycie zaś potrzebnego miejsca oznacza się opłata:

a) miejsce na stołach za przestrzeń 1 metra długości a 75 ctm. szerk. 1 zł.

b) miejsce na ścianach za metr kwadratowy 50 ct.

c) miejsce w szafach za metr kwadratowy 1 zł. 50 ct.

Dla jednego wystawcy nie może być wyznaczono mniej jak pół metra kwadr. miejsca. Zapłata zaś za miejsce mniejsze jak 1 metr kwadr. wynosi zawsze 1 zł.

Okazy wystawowe mają być doręczone najdalej do 4. grudnia w biurze muzealnem za pośrednictwem osób upoważnionych do tego od stron interesowanych lub też przez samych wystawców. Przesyłki zatem adresowane do Zarządu Muzeum bezpośrednio, zupełnie nie będą uwzględniane. Po skończonej wystawie wszystkie okazy powinne być najdalej do 20. stycznia 1882 roku zabrane.

Stosownie do żądania wystawców przedmioty wystawowe mogą być sprzedane w czasie trwania wystawy z warunkiem, iż zostaną one na miejscu do końca wystawy. Uprasza się, ażeby do przedmiotów wystawowych dołączony był kompletny spis okazów z wyrażeniem nazwy miejscowości i właściciela, sposobu technicznego wykonania roboty, jako też stanowczej ceny okazów. Sprzedażą przedmiotów może się zająć sekretarjat Muzeum, od ceny oznaczonej ma się odtrącać 10%, które przeznaczają się na koszta administracyjne wystawy.

Celniejsze wyroby będą odznaczone listami pochwalnemi, które na mocy orzeczenia rzeczoznawców mają być udzielane wystawcom. Nazwiska osób do składu jury należących będą w swoim czasie ogłoszone.

Z przedmiotów nie należących do wyrobów przemysłu domowego włościańskiego — jako to: roboty towarzystwa pracy kobiet, roboty Pań pracujących w tem dziale z amatorstwa, jako też roboty kobiece służące jako przedmiot handlu — przyjmowane będą na wystawę tylko celniejsze okazy, a w tym celu wyżej wspomniane przedmioty będą trutynowane przez rzeczoznawców *ad hoc* wybranych, których orzeczenie posłuży na wskazówkę do przyjęcia na wystawę przedstawionych robót.

Zarząd Muzeum przemysłowego miejskiego powodowany przekonaniem, że myśl urządzenia w Muzeum corocznie wystaw wyrobów pewnego działu przemysłu znajdzie szczere poparcie u osób, które interesują się rozwojem i podniesieniem życia ekonomicznego w kraju; ośmiela się zwrócić uprzejmą swą prośbę w pierwszym rzędzie do Szanownych P. T. Obywateli ziemskich, również do Wielebnych księży Plebanów, jako będących ciągle w styczności z ludem wiejskim, ażeby raczyli wpływem swym zachęcić rękodzielników wiejskich do jak najliczniejszego udziału w zamierzonej wystawie; zarazem Zarząd Muzeum żywi nadzieję, że tak chętne zawsze do pomocy w rzeczach publicznego dobra Panie nasze, pielęgnujące bądź z amatorstwa roboty ręczne kobiece, bądź też produkujące je jako przedmioty handlu, raczą wziąć również licznie współudział w zamierzonej wystawie.

W końcu Zarząd Muzeum poczytuje sobie za miły obowiązek złożyć niniejszem najszczersze podziękowanie J. W. Dr. Gnoińskiemu, Prezydentowi Miasta Lwowa, który w poczuciu znacznej doniosłości myśli przez Zarząd Muzeum podniesionej, raczył łaskawie odstąpić na cel wystawy z własnego pomieszkania trzy sale przytykające do lokalów muzealnych w Ratuszu.

Lwów w maju 1881 r.

Zarząd Muzeum.

Treść: Operacja finansowa na żydach, obrazek ze wspomnień przeszłości, skreślił M. Starczak (c. d.) — Austrja, Niemcy i Słowianie, uwagi polityczne, przekład z rosyjskiego. — Teorja i praktyka wiersz, M. Rodocia. — Kronika tygodniowa. — Przedstawienia p. Donato, przez W. Kozłowskiego. — Z Hejnego, wiersz, St. Rossowskiego. — Korespondencja poznańska przez P. T. (dok.) — Michał Munkacsy. — Bibljografja polska. — Wiadomości z kraju i ze świata.

W dodatku: Nędznicy, romans Wiktora Hugo, tom II-gi, arkusz 9a.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.